



Katarzyna

PRZYWRACAĆ ŚWIATU PORZĄDEK

KATARZYNA BONDA ZMieniła formułę powieści kryminalnej. Jej książki nie schodzą z list bestsellerów, a prawa do nich kupili najwięksi światowi wydawcy. Właśnie opublikowała nową powieść „Miłość czyni dobrym”, drugą część trylogii. Tym razem penetruje zło, którego świat nie chce zauważyć. Przeczytała 120 tomów akt, żeby zrozumieć modus operandi uwodziciela.

Rozmawia REMIGIUSZ GRZELA *Zdjęcia* RAFAŁ MASŁOW

Główny bohater pani nowej książki, Daniel Skalski, „umie rozkochiwać w sobie ludzi, że mózg staje”. Diabeł? Wszyscy mu ulegali. Nie tylko z powodu luksusu, szybkich samochodów. Dokładnie przestudiowałam akta, bo pierwowzorem był największy polski oszust. Zaczął od fałszowania czeków pocztowych. Wciągnął w to kobietę, która się w nim kochała. Potem oszukiwał innych, na coraz większą skalę. Nie był wykształcony, a nabierali się ludzie od niego o wiele mądrzejsi. W końcu ścigały go policje całego świata, CBS, Interpole. Ludzie nie widzieli, kim jest. Tego właśnie szukałam. Byłam ciekawa, jak można funkcjonować wyłącznie w świecie władzy

i kontroli. Czym to różni się od zbrodni seryjnych morderców? Pod spodem ten sam lęk i gniew napędzające do czynów. To, że miał gładką powierzchowność i rozkochiwał ludzi, nasunęło mi trop archetypu diabła.

Przeraził panią?

O wiele bardziej niż lektura akt. Naprawdę czytałam wszelkie możliwe akta spraw dewiantów kawalkujących zwłoki, bezlitosnych gangsterów, a przejęłam się złem fundowanym przez pozornie uroczego człowieka. Tacy ludzie są wśród nas, spotykamy ich.

Mówiła pani kiedyś, że kryminał jest zwykle diagnozą społeczną. Dlaczego ludzie wyszli na ulicę? Ponieważ czują się oszukani. Dopóki nie spadła zasłona, myśleliśmy, że rzeczywistość jest inna. ▶

Pozwalamy zawłaszczać naszą przestrzeń, na wiele się zgadzamy, bo inaczej w ogóle trudno byłoby funkcjonować, i pewnego dnia prawda wychodzi na jaw. To wywołuje gniew, często za późno.

Gniew ujawnił niezwykłą moc kobiet. Zmienia świat?

Kobiety mają moc bomby atomowej. Mamy boginię Kali. Kiedy jest zagniewana, wściekła, zaczyna walczyć i niszczyć, aby przywrócić porządek. To kobiety wyszły i krzyczą. Nie mężczyźni. Uzbroiły się w transparenty. Ujawniło się nasze siostrzeństwo. Wysłała jedna, za nią następne, a z nimi przyjaciółki, siostry, matki. Tak było od wieków. A to dopiero początek.

Jaką perspektywę pani widzi?

To na pewno wojna. A tam, gdzie front, może się zdarzyć wszystko. Obserwuję świat wycinkowo. Pisząc, jestem skupiona na temacie książki. Wychodzę z „jaskini” tylko po to, żeby złapać powietrza. I wtedy dopada mnie rzeczywistość. Byłam na dokumentacji w sądzie w Lublinie. Miałam telefon: „Halo, wracaj!”. Bo zapowiedziano *lockdown*, a ja w ogóle nie wiedziałam, że pandemia. Na dworcu dwie kobiety szarpały się o bilet. Studenci chcieli wrócić do domów, zaczęła się panika, jak to zrobić. Ze sklepów zniknęły papier toaletowy, mydło, ziemniaki. Zrozumiałam, że nie jestem w stanie bić się o bilet. Od razu zobaczyłam, co gotuje się pod pokrywką. Już wtedy wiedziałam, że zawrze. Pół roku później wszyscy wyszli na ulicę. Kiedy pisze się książkę kryminalną, musi się pojawić pierwsza krew, żeby ruszyła fabuła. Nieustannie włączają mi się mechanizmy fabularne. Dlatego wolałabym nie wieszczyć, nie chcę być Kasandra.

Mężczyźni piszący kryminały stawiają na wątki przygodowe, kobiety chcą uleczyć świat – mówiła pani w wywiadzie. Z tym założeniem pisze pani trylogię „Wiara – nadzieja – miłość”?

Rozgrywa się na szerokim europejskim tle.

Ta seria jest zupełnie inna, i nie do końca wiem, czy powieść, o której rozmawiamy, to klasyczny kryminał. Główny bohater nie jest orędownikiem dobra, czyli utrudniam sobie leczenie świata. Ale bardzo możliwe, że eksplorowanie ciemnej strony jest stawianiem diagnozy. Na pewno staram się zrozumieć genezę zła. To silniejsze ode mnie. I może to jest klucz – kobiety chcą zrozumieć: skąd, dlaczego? Bo po co innego byśmy pisały reportaże, literaturę piękną, gatunkową? Każda opowieść kryminalna powinna przynieść czytelnikowi katharsis. Bo przecież grzebiemy w lęku. W świecie realnym niełatwa jest walka z lękiem. W opowieści kryminalnej rozwiązujemy zagadkę i zamykamy temat.

Pisze pani: „W ogóle się nie bój, ludzie mają radar na lęk”. Dlaczego wciąż jest w nas za mało odwagi?

Podświadomie wszystko wiemy, ale sygnały docierają do nas zbyt późno. To rozumiałe, bo żyjemy w iluzji. A oszuści, ci przebiegli szachiści, planują swoje ruchy z dużym wyprzedzeniem. Czasem wystarczyłoby się poddać intuicji, ciału, które często czuje wcześniej. Myślmy, że wszystko jest w porządku, a ciało sygnalizuje co innego. Nie należy się bać. Lepiej uświadomić sobie emocje i je przyjąć. Uczyniłam tak, kiedy w kraju zaczęło być gorąco. Pomyślałam: „Właściwie i cóż? Jaki mam na to wpływ?”.

Pani ma. Pani książki docierają do milionów czytelników.

W maju, po pierwszym rzucie pandemii, miałam zaplanowane wydanie dokumentalnej książki „Motyw ukryty. Z archiwum profilerów”, napisanej z Bogdanem Lachem. To historie, które rozwiązywał na podstawie akt zbrodni. Pomyślałam: „Jaki to ma teraz sens?”. Ale nie udało się zatrzymać maszyny wydawniczej. Okazało się, że ludzie chcą akurat czytać o zwyrodnialcach, uciekając w to od niewidocznego niebezpieczeństwa, którego nie rozumieją. Niektórzy schowali się w tej lekturze przed pandemią. Woleli zwykłą niegodziwość od tej enigmatycznej. Dla mnie to było szokujące. Fascynuje mnie, że ludzie zachowują się inaczej niż przed pandemią. Poczucie zagrożenia sprawia, że zaczynają myśleć o sobie i przestają udawać. Odsłaniają lęk. Zrozumiałam, że cały czas się czegoś boję. Odkąd zostałam matką, towarzyszył mi lęk o siebie, o dziecko. Stałam się jego więźniem. To w czasie pandemii postanowiłam, że już nie będę się bać, po prostu przyjmę to, co przychodzi. Lepiej szukać dobra niż zła i pilnować, żeby z nas wypływało, spotykało nas.

Od lat, najpierw jako dziennikarka, a później pisarka, jestem zainfekowana przestrzenią zła. Piszę stale o ludzkiej słabości. Bo z niej bierze się zbrodnia. Wymyśliłam tę serię, żeby odnaleźć wyższy element, coś, co mnie znów zaintryguje.

Widzi pani czasami siebie w córce?

Nieustannie, na przykład swoje wady, w dodatku przerysowane. Moje dziecko ma w tej chwili 14 lat. Słyszę, jak zmienia się jej głos. Widzę, że inaczej mówi, kiedy rozmawia ze mną, a inaczej z rówieśnikami. Jakbym oglądała serial.

Jaka była 14-letnia Kasia w Hajnówce?

Bardzo grzeczna, bo przecież dziewczynka nie sprawia kłopotów – nie paliłam, nie brałam narkotyków, nie wagarowałam, ale miałam niewyparzoną gębę. To się nie zmieniło. Zawsze byłam przemądrzała. Niezależności nie nabywa się z wiekiem, po prostu się ją ma albo nie. Jeżeli się z kimś nie zgadzałam, mógł to być nauczyciel, wchodziłam w dyskusję. To co, że będą kłopoty. Gubiło mnie przekonanie, że zawsze wiem najlepiej. Do dziś usiłuję z tym walczyć. Bezszykownie. Grałam na fortepianie, w siatkę, przed lekcjami chodziłam na gimnastykę korekcyjną. Bunt pojawił się później.

Co się stało?

Usłyszałam od pani profesor, że może powinnam się zająć innym rodzajem sztuki. To wystarczyło. Miałam 18 lat i poczułam, że lata ćwiczeń na marne. Nie wiem, skąd tyle mocy i rozumu, żeby się nie załamać. Uratował mnie atawizm, bo natychmiast wymyśliłam dziennikarstwo. Na pewno przygotowało mnie do pisania. Do dzisiaj podziwiam ludzi, którzy siadają i piszą, mają odwagę, brawurę. U mnie wszystko jest ciężko wypracowane. Czasami się zastanawiam, czy w ogóle mam prawo to robić. Wiem, że moje książki sprzedają się w wielkich nakładach. Jak ktoś chce mi dopiec, mówi, że to z powodu krzykliwych sukienek i trzepotania rękami. Tak też jest. W branży, w której działam, jest w tej chwili naprawdę ciasno. Jedna książka może autora zniszczyć i jedna może ponownie go wynieść.



“
NIEZALEŻNOŚCI NIE NABYWA SIĘ Z WIEKIEM,
PO PROSTU SIĘ JĄ MA ALBO NIE.

Pamiętam, jak wydawnictwo Muza rozesłało katalog z pani modową sesją. To było nowe. Pisarze ciągle chodzili w poroziących swetrach. Na targach książki spotykałam panie w długiej sukni, wbijającą w swoje książki pieczętkę „królowa kryminału”. Najchętniej w ogóle nie wychodziłabym z domu i z nikim nie rozmawiała. Chciałabym, żeby moje książki same się broniły. Kiedy Muza rozesłała ten katalog, byłam na rynku już siedem czy osiem lat. Pan zobaczył mnie dopiero w nim.

Przyznaje.

To o czym w ogóle mówimy? Przez rozwój technologii, media społecznościowe czytelnik zbliżył się do autora. Nie zrobiłam tych zdjęć, bo mam ładne sukienki, tylko żeby skontaktować się z odbiorcą. Wcześniej nie wiedziałam, dla kogo piszę. Przymierałam głodem, ale nie rezygnowałam z pisania. Kiedy zaczęłam

chodzić do telewizji śniadaniowej, dawać wywiady kolorowym pismom, moi koledzy napominali. Odpowiadałam: „Dzięki temu ktoś się dowie o mojej książce”. Dzisiaj wszyscy to robią, a czas powyciąganych swetrów się skończył. Chcę dobrze wyglądać, występując w ogromnych salach pełnych ludzi. Z szacunku dla tych, którzy przyszli. Spotkania ze mną są wspólną fiestą. Moi czytelnicy też są elegancko ubrani.

A pieczętka „królowej kryminału”?

Zygmunt Miłoszewski napisał o mnie takie zdanie. Wydawca wykorzystał je na okładce „Pochłaniacza”, pierwszego tomu serii o Saszy Załuskiej. To był mój pierwszy sukces komercyjny. Wydawca zorganizował przyjęcie z tortem. Byłam oniemiała, bo to była niespodzianka. Akurat byłam w zapisie, w środku książki, i nie chciałam tam iść. Z tej okazji dostałam pieczętkę. Pan prezes ▶

przedstawił wynik. 150 tysięcy w trzy tygodnie! „Dlaczego tak mało?” – zapytałam. Nie wiem, skąd takie zdanie przyszło mi do głowy. To wzbudziło śmiech. Każda kolejna książka przynosiła większe nakłady. Ale nie mam pewności, że ludzie nadal będą chcieli czytać to, co piszę. Może nadejdzie czas zupełnie innych książek? A ja będę jak ten dinozaur...

Ale w koronie.

Królestwa nie są takie, jak wyglądają.

Pani ojciec mówił, że w życiu nie ma dużych decyzji.

Tata powiedział to na łożu śmierci. Umierał na raka. Wyznał, że umówili się z mamą, jak się pobierali, że on będzie podejmował same duże i ważne decyzje. Okazało, że nie ma żadnych dużych decyzji. Są tylko małe. Całym naszym życiem zarządzała jego Ninka, czyli moja mama.

Czyli w pani domu nie było patriarchy?

No dobra, tato, nie chciałam tego powiedzieć, ale... Był między rodzicami cichy układ, że załatwiają sprawy między sobą. Jeżeli mamie się coś nie podobało, potrafiła tatę dotkliwie zrugać. Miał dla niej ogromny szacunek, wiedział, że jest mądra. Ale nie wychylała się z narzucaniem swojego zdania. Zostawiała mu poczucie królewskiej władzy. Jeżeli porównałabym ich do króla i królowej, to etykieta była zachowywana. Długo uważałam, że to zakłamanie. Dzisiaj myślę, że to było zdrowe.

Pani mama, będąc dzieckiem, straciła matkę w pogromie wsi prawosławnych na Podlasiu w 1946 roku. Jak to na nią wpłynęło?

Emanowała z niej siła. Ubierała się dość ekstrawagancko. Byłam zażenowana, kiedy przychodziła na wywiadówki. Chciałam, żeby była normalna i miała trwałą, a nie warkocz i kapelusz z wielkim rondem. To dobrze oddaje jej osobowość. W życiu nie założę kapelusza z wielkim rondem. Mama od dziecka przygotowywała mnie na to, żebym sobie poradziła w każdych warunkach. Wszyscy mówią, że jestem silna, ale zbroję założyłam z czasem. Pod nią jestem delikatna. Biorę na warsztat tak ciężkie tematy, bo zło mnie dotyka. Moja mama, widząc moją kruchość, starała się mnie chronić. Miała 43 lata, czyli tyle, ile ja teraz, jechała do szpitala i żegnała się ze mną. Oczywiście nie powiedziała, co jej grozi. Tego też nie lubię, bo mam alergię na zakłamywanie rzeczywistości. Jechała na operację, z której mogła nie wrócić, miała tego świadomość, i nic nie powiedziała. Dziecko czuje, że coś jest pod spodem. Starala się, aby pożegnanie nie było ani zbyt suche, ani zbyt wylewne. Wróciła ze szpitala. Trzeba mieć wiele hartu ducha, żeby zniszczyć nowotwór. Myślę, że to zrobiła, bo nie wiedziała, jak sobie poradzić, jeśli umrze. Umarła w 2018 roku.

O pogromie, w którym zginęła pani babcia, napisała pani w powieści „Okularnik”. Temat był w domu obecny?

Nie. Na tym polegał mój wkurw na rodziców. Teraz tak mogę powiedzieć, bo nie żyją. Przy nich nie

przeklinałam ani nie paliłam. Na temat pogromu milczała cała społeczność. W liceum z białoruskim językiem nauczania też nigdy nikt nic nie powiedział. Dlatego musiałam o tym napisać. Każdą książką zamykam swoje tematy. Moje książki muszą ze mną rezonować. Nie terapeutyzują mnie wprost, nie są spowiedzią, ale przychodzą nieprzypadkowo. Mam świadomość, że tylko ja mogłam taką książkę w taki sposób napisać. Długo zastanawiałam się, czy mam siłę, żeby to zadanie dźwignąć. Bo pisząc, zawsze totalnie wchodzę w temat.

Książki panią zmieniają?

Tak. Każda książka mnie zmienia. Pisząc je, przechodzę transformację. Czasem zastanawiam się, dlaczego mam takie życie. Teraz się z tym pogodziłam, ale był moment złości, bo chciałam mieć normalne życie, jak wszystkie kobiety – mówić delikatnym głosem, opiekować się ogniskiem domowym, mieć męża wojownika. Ale kiedy uświadomiłam sobie, że całe życie podejmuję decyzje, które oddalają mnie od tego scenariusza, zrobiło mi się źle.

W wywiadzie dla „Playboya” mówiła pani, że pani mężczyzna musi być wysoki, żyłasty, w typie Clint Eastwooda, nie wychuchany i nie pisarz. No i pojawił się Remigiusz Mróz.

[śmiech] Kurczę.

I we wszystkich studiach telewizyjnych mówiliście o miłości.

[śmiech] Dlaczego ja wtedy tego nie przeczytałam?! Trzeba było mi to wcześniej wyciągnąć! Chcę potwierdzić zeznania sprzed lat, są nadal aktualne. Dziwne, że pan teraz to odnalazł. Widzi pan, jestem przemądrzała...

A ten obraz za panią, na który zerkam?

Kupiłam go w Paryżu. To dzieło Davida Sali, ilustratora i rysownika komiksów. Pojechałam z dzieckiem. Przez okno galerii zobaczyłam jego obraz. Po prostu musiałam go mieć. Zapytałam, ile kosztuje. Marszand powiedział, że jest już sprzedany. Tak jak cała wystawa poza jedną akwarelę. To właśnie ta. Jest inspirowana „Nowelą szachową” Stefana Zweiga. To były moje 40. urodziny, symbol przejścia, i chciałam zrobić sobie prezent. Fascynuje niebo, które – jak mi powiedział znajomy malarz – jest w tym kolorze trudne do osiągnięcia. Mieszkałam na 60 metrach, w jednym pokoju – kuchnia, pracownia, łóżko, miejsce dla psa. Postawiłam ten obraz i pomyślałam, że kiedyś będę miała gabinet tylko po to, żeby go powiesić. I tak się stało.

Jakie jest pani niebo?

Błękitne. Jeśli jest burzowe, wypatruję, aż zrobi się dziura i spod spodu wyłoni się błękit.

Co najtrudniej namalować na pani niebie?

Wiem, co najłatwiej – zaczernić farbą i namalować błyskawicę. Nie lubię obłoków, nie chcę ich, niech to niebo będzie całkiem jasne i z ptakami. Teraz na chwilę przymknęłam oczy i zobaczyłam czarne ptaki. Widzi pan, jestem zero-jedynkowa, albo burza, czarne, błyskawice, albo sentymentalne niebo. Ale to drugie najtrudniej namalować. ●



KATARZYNA BONDA

autorka trylogii kryminalnej z Hubertem Meyerem, tetralogii z profilerką Saszą Załuską, powieści kryminalnych inspirowanych prawdziwymi zdarzeniami. Teraz publikuje trylogię „Wiara – nadzieja – miłość”, dotąd ukazały się „Miłość leczy rany” i „Miłość czyni dobrym”. Na podstawie powieści „Lampiony” powstał serial TVN „Żywioty Saszy”.